

ELIZA ORZESZKOWA

POCZĄTEK
POWIEŚCI

Eliza Orzeszkowa

Początek powieści

«Public Domain»

Orzeszkowa E.

Początek powieści / E. Orzeszkowa — «Public Domain»,

Dwa dwory, dwa małżeństwa, dwie opowieści toczące się równolegle. Jeden z ciekawszych formalnie utworów Elizy Orzeszkowej. „Początek powieści” to dwa utwory w jednym, dwie różne historie dziejące się w tym samym miejscu i czasie. Tematem obydwu jest narzeczeństwo i zamążpójście córki. Obydwie nowelki zbudowane są w identyczny sposób, zaczynając od opisu dworu i okolicy, poprzez przedstawienie postaci, aż do zawiązania akcji. Paralele na poziomie zarówno treści, jak i formy czynią ten utwór nieomal prozą poetycką, a autorka w przedmowie wprost zaprasza do krytycznoliterackich analiz i refleksji. Zdecydowanie godne polecenia.

Содержание

I. Człowiek i lalka	6
Конец ознакомительного фрагмента.	10

Eliza Orzeszkowa

Początek powieści

Życie człowieka, – to treść do powieści.

W nim są epizody dramatu i komedy, – źródła łez i wybuchu śmiechu. W nim są szczególnie chwile pewne, z których wysnuwają się nici dalszego istnienia. Chwile te stanowczo oddziałują na przyszłość całą, i potem, kędy się zwrócisz: wokoło siebie, w głębi serca, na tle myśli, – wszędzie dojrzysz ich ślady.

Zejsście się mężczyzny z kobietą bywało dotąd ową chwilą, dostarczającą zwykłej do powieści osnowy. Poprzez różne zapory i trudy, z tysiącem walk i boleści, powieściopisarz przyprowadzał młodą parę do ołtarza, a niekiedy jedno z dwojga bohaterów składał w mogile.

Dziś powieści, osnute jedynie na owych tragicznych wędrówkach par ku obrączkom ślubnym, spowszedniały, a nawet mało mogą przedstawiać prawdy. Dziś niema już okrutnych ojców, zniewalających córki do zaślubiania bogaczy; klasztory o żelaznych bramach nie zamykają się za ofiarami rodzicielskiego despotyzmu; dziś bohaterki silniejsze jakoś mają piersi i nie tak łatwo, jak dawniej, umierają z suchot, a bohaterowie nie drżą przed rozkazami ojców i sami dla siebie wybierają towarzyszy życia. Duch kastowy, nierówność stanów, coraz też mniej przedstawiają tła dla tragiki romantycznej; bo byle nastrój umysłów i serc dwojga ludzi był równym, mało kto już wgląda w heraldyczne szpargały, aby niemi rozłączać zakochaną parę. Zdarzają się zapewne wyjątki. I teraz jeszcze na drodze tych, którzy chcą żyć razem, stają niekiedy przeszkody, wynikające z nadzwyczajnych okoliczności i niewykorzenionych całkiem przesądów. Ale są to już tylko wyjątki, a życie istotne, ogólne, któremu podlegają wszyscy, i w którym w obecnym stanie społeczności najwięcej dramatu i nauki znaleźć można, to nie krótka wędrówka od spotkania się do ołtarza, ale owa długa wędrówka od ołtarza do mogiły.

Więc dzisiaj opis zejścia się mężczyzny z kobietą, to jeszcze nie powieść, to tylko **początek powieści**.

Jak w starożytnych tragediach, przed rozpoczęciem się właściwej scenicznej akcji, chóry zapowiadały w prologu zebranym widzom, jakiego osnucia sztuki spodziewać się mają; tak przed rozpoczęciem się dramatu życia dwojga ludzi, powieściopisarz, chcący przedstawić życie istotne, opowiedzieć musi prolog ich – spotkanie się, poznanie i powody, które ich połączyły. Namiejętności, interesa, szal, niedoświadczenie, podłość, zbytek szlachetności nawet, najdziwniej niekiedy ludzi prowadzą. Z początku wszystko pięknie; z zasłoną na oczach idą ku ołtarzowi niedoświadczenie i szlachetność, a interes i podłość cieszą się ze zdobyczy. Potem... potem rozpoczyna się życie właśnie najciekawsze i najwięcej nauczające, właściwa treść powieści i dramatu.

Wszakże i początkiem pogardzać nie można. To źródło; warto i jemu się przypatrzeć, aby lepiej módz pojąć późniejsze i zaradzić złemu. Jakim sposobem naprzykład zejść się mogą mężczyzna-człowiek z kobietą-lalką, albo kobieta-człowiek z mężczyzną-robakiem? Dlaczego otaczający podają pomoc tym potwornym związkom? Jak i dlaczego robaki i lalki przywdziewają maski ludzkie, aby zwieść i usidlić ludzi?

Trzeba to widzieć koniecznie, aby módz pojąć potem dramat przyszłego życia.

Trzeba widzieć, jak się schodzą ludzie, aby wiedzieć, dlaczego później tak, a nie inaczej, idą ze sobą.

Więc chociaż dla tego, kto piórem chce malować dramata tegoczesnych istnień, głównym wzorem powinno być życie par po odejściu ich od ołtarza, toć przecie kreślenie dróg, którymi ludzie do niego idą, pozostanie koniecznym **początkiem powieści**.

I. Człowiek i lalka

W jednej z najpiękniejszych okolic nadbużnych stał przed kilkunastu laty duży, dwu-piętrowy dom, ogólnie przez sąsiadów pałacem nazywany. Zgrabne balkony, wsparte na lekkiej kolumnadzie, wznosiły się nad dziedzińcem, otoczonym pięknymi gospodarskimi budowlami. Od ganku do murowanej bramy, zamykającej sztachety, w przeciwną stronę, zginęły się dwie, osadzone kwiatami i usiane żółtym żwirem, drogi, jakby ramionami obejmując wielkie koło świeżej i równej murawy. Za bramą szeroka biała droga biegła coraz wyżej, pnać się na górę, – a daleko, na krańcu widnokręgu, jak okiem zajrzeć, ciągnęły się prześliczne wzgórza, to pokryte lasami, to usiane zbożem. Z za lasów i zwgórków gdzie-nie-gdzie wychylały się wioski, rysując na tle krajobrazu grupy szarych chat i wysokich krzyżów. Z drugiej strony domu w tysiące wzorów łamały się klomby z kwiatami, a między nimi ścieżki wiodły ku wstędze wązkiej i bystrzej rzeczki, biegnącej w wązowych kręgach między zielenią krzewów i traw. Dalej stare lipy i smutne jodły tworzyły cieniste ogrodowe aleje, a wśród nich otwierały się szerokie, jasne przestrzenie, oblane słońcem, usiane murawą i kwiatami.

Miejsce to, nazywające się Próznowo, wraz z kilku wsiami i obszernymi łanami pól, należało do pana Swatowskiego.

Pan Andrzej Swatowski miał w ową porę lat przeszło 50, majątek wynoszący blisko milion, córkę jedynaczkę i opinią **porządnego człowieka**. W dwudziestym roku życia, skończywszy siedm klas szkół gimnazjalnych, zaczął gospodarować w majątku ojcowskim. Po śmierci rodziców ożenił się i pojechał parę razy za granicę. Wróciwszy z ostatniej podróży, postawił dom, zwany w okolicy pałacem, sprowadził piękne meble, powozy i dwie guwernantki cudzoziemki dla swojej jedynaczki. A że gospodarstwo szło mu dobrze, że nie grał w karty, nie pił i wyraźnie nikogo nie krzywdził, z żoną żył bardzo przykładowo i córkę bardzo starannie wychowywał, za te wszystkie cnoty swoje jakże nie miał otrzymać nazwy porządnego człowieka?

W roku 1857, w połowie Czerwca, pola zieleniły się, kwiaty żywymi jaśniały barwami, słońce oświecało ziemię ciepło, radośnie.

W ładnym salonie próznowskiego domu, wielki brązowy zegar oznajmiał trzecią godzinę po południu. Pan Swatowski, w-pół leżąc na fotelu, oddawał się codziennemu poobiedniemu spoczynkowi. Na okrągłym i rumianym jego licu rozlewał się spokój zupełny; wąsy sumiaste, nieco siwe, pokrywały usta, złożone jakby do smakowania potrawy. Głowę miał wspartą na poduszkach fotelu, a ręce splecione spoczywały na zaokrągleniu figury, która przez regularny sen i posiłek przybrała dość znaczne rozmiary.

W rogu salonu, na małej kanapce, z francuskim romansem w ręku, siedziała kobieta około lat czterdziestu. Pani Leokadya Swatowska piękną była-by jeszcze, gdy-by nie wyraz pychy i chłodu, zalewający twarz jej i mówiący przez wpół zmrúżone oczy. Córką dawniej, arystokratycznej a zrujnowanej rodziny, z wychowaniem skrzywionym, przyzwyczajona do zbytków i błyskotek, wyszła za mąż nie z popędu serca, ale dlatego, że pan Swatowski miał znaczny majątek. Pan Andrzej zaś ożenił się z nią dla stosunków, a że oboje nie mieli skłonności do marzeń i pragnieniem nie wybiegali po za rzeczywistość, dobrze było pani Swatowskiej z majątkiem pana Swatowskiego, i panu Swatowskiemu ze stosunkami pani Swatowskiej. Oboje cenili wysoko to, co nabyli. Pan Andrzej często mówił o arystokratycznych stosunkach swoich, brzmiałymi imionami imponując słuchającym sąsiadom; pani Leokadya ubierała się bogato, z głębi miękkich foteli rozkazywała licznyemu sługom, jeździła często za granicę, i wróciwszy, o niej tylko mówiła.

Miedzy śpiącym ojcem i czytającą romans francuzki matką, w białej, lekkiej sukience, z wachlarzem w drobnej rączce, przechadzała się panna Zofia Swatowska. Piękne było bardzo to ośmnasto-letnie dziewczę. Wysmukła i kształtna, lice miała przezroczystej białości. Włosy bardzo jasne wznosiły się wysoko, jakby aureolą promieni, a dziwną sprzecznością, czarne brwi i czarne

długie rzęsy otaczały duże, szafirowe oczy, to pałające tysiącem ogni, to wabne, lżą jakby zamglone. Usta małe, karminowe, jakby gałązka koralu, rozkwitały wśród białej twarzyczki; głos miała dźwięczny, srebrny, mowę dziwnie miękką, pieszczoną. Wychowana przez matkę dumną, próżną i pamiętającą o swoim wysokim pochodzeniu, od dzieciństwa uczyła się próżności i dumy. Bony i guwernantki od kolébki mówiły jej o piękności, bogactwie i blasku, jako o jedynych dobrach ziemi. Uczono ją czterech obcych języków, muzyki, rysunku, tańców; uczono, jak się ma znaleźć w każdym towarzystwie, jak ma siedzieć, chodzić, stawać i mówić, aby jej ruchy i słowa miały jak najwięcej arystokratycznej dystynkcji.

Mając lat siedemnaście, skończyła wychowanie. Mówiła obcemi językami, grała na fortepianie, śpiewała dźwięcznie i słodko; wiedziała, jak w towarzystwie odróżnić ludzi według sfer, kiedy i komu uchodzi, albo nie, podać rękę, uśmiechnąć się, przemówić uprzejmie. O dziejach, naturze, o poważnych prawdach życia, najlżejszego nie miała wyobrażenia; rodzinnym językiem z trudnością wypowiadała myśli; o gorących a zacnych uczuciach nie zasłyszała nawet. Słowem, córka porządnego człowieka i arystokratki z rodu, była piękna... piękna kobieta-lalka.

Kiedy po raz pierwszy włożyła sukienkę dorosłej panny, i M-me Lacour, ostatnia z guwernantek, opuściła Próżnowo, Zofia pobiegła do swojego pokoju, stanęła przed dużym lustrem i długo patrzyła na swoją postać, wdzięcznie uśmiechniętą w zwierciadlanej szybie. Powiodła dłonią po aureoli jasnych włosów, poprawiła osuwające się na ramiona warkocze, uśmiechnęła się, podniosła główkę i zawołała:

– Śliczna jestem!

Potem zaśmiała się przeciągłym, srebrnym śmiechem, i nuta walca wpół skoczna, wpół tęskna w tysiącznych spadach wypłynęła z różanych ustek. Za chwilę lekka, wesola, zbiegała z szerokich schodów; biała sukienka owijała ją jak obłoczkiem, a myśl walcowym wirum krążyła około jednych wyrazów: w świat! w świat bogactwa! w świat blasku i wielkości!

Pan Andrzej usypiał w fotelu snem błogosławionych, pani Leokadya zamknęła książkę i z roztargnieniem patrzyła przed siebie, Zofia zaś przechodziła od okna do okna, uderzała się wachlarzem po rękę, śliczne usta złożyła z wyrazem niezadowolenia, a na białym czole zarysowała się lekka zmarszczka.

– Mamo, – rzekła po chwili, zbliżając się do matki, – nudzę się!

Pani Swatowska podniosła głowę, spojrzała na córkę i odrzekła:

– *Ma chère*, każ konie założyć i jedź na spacer.

– Nie chcę jechać na spacer, mamo, – z niecierpliwością zawołała Zosia.

– Więc graj albo czytaj, – mówiła znów matka

– *Oh, j'en ai assez* muzyki i czytania! Chcę ludzi, towarzystwa, świata... nudzę się!

– Przyjedzie dzisiaj pan Warzecki, to cię rozerwie. *Je crois, qu'il vous fait sa cour*. Jeżeli się o ciebie oświadczy, wyjdiesz za niego, a będzie ci daleko weselój. On jest bogaty i ma dobre w świecie stosunki. *C'est un mariage tout à fait sortable pour vous*.

Gdy pani Swatowska wymówiła te słowa, ocknął się pan Andrzej i przetrął oczy.

– O panu Warzeckim mowa, o ile się domyślam, – rzekł, poziwając.

– Tak, – odpowiedziała pani Leokadya; – Zosia nudzi się, my dla niej do miasta wyjechać nie możemy. *Il faut la marier*. Pan Warzecki, zdaje mi się, zupełnie odpowiada warunkom dobrej partyi. Znam jego krewnych na Wołyniu, ma piękny majątek *et l'extérieur tout à fait distingué*.

– Chłopoman! – mruknął pan Andrzej.

– To prawda, – mówiła znowu pani Leokadya, – *que sa tournure d'esprit n'est pas tout à fait aristocratique*. Niema się jednak czém zastraszać. Pan Warzecki, choć chłopoman, gospodaruje dobrze, jak mówiła mi sąsiadka jego, marszałkowa Z. Cóż ty na to wszystko, Zosiu?

– *Je trouve, maman*, że pan Warzecki strasznie jest nudny ze swoją powagą. Bywa tu często; ani razu żadnej miłej nie powiedział mi grzeczności. Kiedym mówiła mu, że nudzę się na wsi, on, zamiast przyznawać, jak inni panowie, że stworzona do wielkiego świata i uwielbień, a nie do

ciszy wiejskiej, zaczął prawić o książkach, pracy, o szczęściu i zadowoleniu w jakimś uczuciu, jak mówił, serdeczném i goracém. Myślałam, że usnę!... *Mais enfin, quoique il m'assomme avec sa morale*, gdybym była pewną, że po ślubie powiezie mię za granicę, a potem, że będziemy mieszkali w Warszawie, *je serais prête à l'épouser*.

– Bądź pewna, że tak będzie, – zawołała pani Swatowska. – *Un homme de race, comment donc! C'est toujours si galant!* zrobi, co zechcesz...

– Za prędko, za prędko, moje panie, – przerwał pan Andrzej. – Warzecki nie oświadczył się jeszcze o Zosię, a jeżeli się i oświadczy, trudno wprawdzie odrzucać taką partyą, przecież wołał-bym kogo innego na zięcia.

W téj chwili na szerokiej drodze zbiegała z góry czwórka siwych koni, zaprzężonych do wołyńskiego wózka.

– Otóż i jedzie! – zawołała pani Leokadya.

– Ale nie pan Warzecki, – rzekła Zofia, patrząc w okno.

Pan Andrzej wstał i zaczął się téż przypatrywać. Czwórka szybko zbiegła z góry, i po chwili była już na dziedzińcu.

– To Michał Starski! – zawołał pan Andrzej, wytaczając się z salonu na spotkanie gościa.

– Michał! – powtórzyła pani Swatowska.

– Kuzynek Michaś! – zawołała Zofia.

Drzwi się otworzyły, i wszedł mężczyzna średniego wzrostu, szerokich ramion, z włosami jasnymi, wpadającymi w rudawy kolor, z okrągłemi, blade błękitnymi oczyma.

– Jak się ma ciocia? – rubasznie zawołał u drzwi i, zbliżywszy się, głośno ucałował rękę pani Swatowskiej.

– Dzień dobry, kuzyneczko! – rzekł, zwracając się do Zofii. – Od roku nie widziałem kuzynki. Jakże wyładniała! Już, dalibóg, śliczna panna!

Zofia zimno podała rękę panu Michałowi, który złożył i na nią głośny całus.

– Pewno bez obiadu? kiedyż z domu? jak się mają znajomi? – pytał pan Andrzej.

Gość usiadł, prosił o obiad i zaczęła się rozmowa.

Pan Michał Starski był krewnym pani Swatowskiej. Silny, barczysty, z białém, szerokim czołem i okrągłemi, rumianemi policzkami, był, w pospolitem znaczeniu tego wyrazu, przystojnym mężczyzną; ale umysłowe kształcenie się swe skończył, niestety! na pięciu powiatowych klasach, i młodość przepędził wśród polowań, jarmarków i odwiedzin sąsiadów lub krewnych. Po śmierci rodziców odziedziczył niewielki i zadłużony majątek ziemski. Mimo zaniedbanego wychowania i małego funduszu, piękne imię i liczne stosunki dały mu pewną pozycyą w świecie, i ogólnie utrzymywano, że, aby został całkiem porządnym człowiekiem, brakło mu tylko w układzie pewnych cech arystokratycznych, startych z niego wśród jarmarków i hulank z przyjaciółmi różnych sfer.

Niezbyt go téż lubiła za ten brak arystokratycznej dystynkcji pani Swatowska; ale pan Andrzej imponował sąsiadom pokrewieństwem ze Starskimi, lubił więc i pana Michała, który to imię nosił. Wiedząc o bardzo krytycznym stanie jego majątku, postanowił wydzwignąć Starskiego ze złych interesów, i za najstosowniejszy ku temu środek uznał wezwanie w pomoc bożka hymenu.

– Jakież tam u was urodzaje? – zapytał pan Andrzej.

– Złe; pszenica wymarzła, jarzyny poschły.

– A w Jałowie?

– Gorzej niż wszędzie.

– To źle z tobą, panie Michale.

– Oj źle, źle panie Andrzeju. Kredytorowie na karku siedzą, niech ich dyabli wezmą! Trzeba będzie wziąć bizun za pas i pójść na ekonoma.

Pani Swatowska powąchała flakonik z perfumami.

– *Fi donc!* co téż to mówisz, kuzynku! – wyrzekła pogardliwie.

– Na ekonoma! *fi donc!* – powtórzyła Zosia.

– A i cóż uczynię, proszę cioci, jak mi Jałówkę zabiorą? A nastąpi to niezawodnie, bo długu bankowego mam zaległe dwie raty, prócz prywatnych opłat, których i nie zliczę. Sprzedadzą majątek z publicznego targu.

– Poczekaj, może się znajdzie na to rada, – odezwał się na to pan Andrzej. – Czy otrzymałeś mój list?

– Otrzymałem, i właśnie na wezwanie przybywam.

– Jeżeli tak, to wiiesz, że możesz tu doskonale się ożenić. Tobie wszystko uratowało. Panna młodzianka, kaprysić nie będzie, a rodzice z chęcią wydadzą ją za ciebie, bo to parweniusze, Żytowscy, a ty przecież Starski. Posag zaś co się zowie!...

– Lole Żytowską swatasz Michałowi? – rzekła pani Leokadya. – To dobra partya.

– A ile ma posagu? – spytał pan Michał.

– Dadzą jej zaraz 80 chat, śliczny majątek! Oprócz tego Żytowscy mają niezły folwark, w którym mieszkają, i podobno kapitały.

– Mniejsza o kapitały. Ośmdziesiąt chat, nie bagatelka! Ale czy tylko panna za mnie wyjdzie?

– Już ją w tém... pomówimy.

Drzwi się otworzyły, lokaj zaprosił do stołu. Przy obiedzie pan Michał jadł za czterech; perspektywa wyjścia z kłopotów dodawała mu apetytu.

– Wyborny u ciebie kucharz, panie Andrzeju, – mówił, zajadając. – Ale, ale, przywiozłem ci dwie sarny. Kiedym otrzymał twój list, wychodziłem na polowanie. Myślę sobie: jeżeli co zabiję, panna moja, jeżeli nie, dostanę harbuza. Ledwie wszedłem do lasu, słucham, Daskocz goni! Wypuściłem Lutnię i stanąłem na przesmyku; aż i sarna skacze. Strzeliłem! ani tchnęła! Myślę sobie: dobrze!... Jeszcze się nie ruszył z miejsca, aż i druga! Fuzya do oka... paf w nią... i wyciągnęła cztery łapy! Kazałem wziąć obie i przywiozłem tutaj. Dobra wróżba, panie Andrzeju, nie prawdaż?

Obadwaj **porządni ludzie** mieli błonki oczne skłonne do wypuszczenia łez; gdy więc pan Michał, uniesiony wdzięcznością, rzucił się w objęcia pana Andrzeja, obaj wydobyli z kieszeni chustki do nosa, i obiad skończył się rozczuleniem publiczności, jak wielkopostne kazanie księdza proboszcza. Panie nie były obecne przy tej rzewnej scenie, a z salonu dochodził srebrny głos Zofii, śpiewającej pieśń o Kalinie.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.